

**Ukraina – Polska – Europa. Refleksje wokół pewnej mapy.  
Polemika z artykułem: „*Geopolitical choice of the national  
security ideology: the example of Ukraine*” (Przegląd  
Geopolityczny, 2023, 44, ss. 41-53)**

Zbliża się koniec wojny na Ukrainie. Jeszcze nie wiadomo w jakim dokładnie kształcie terytorialnym będzie Ukraina ani jaki będzie miała zakres samodzielności w stosunkach międzynarodowych, ale z pewnością nastąpi pewne zacieśnienie jej relacji z Zachodem, zwłaszcza z Europą, na co wskazuje też wspomniany wyżej artykuł. Wraz ze zbliżaniem się końca wojny zbliża się czas na podjęcie tematów w relacjach Ukrainy z Zachodem, w tym przede wszystkim z Polską, tematów zostawionych „na po wojnie”.

Inspiracją do podjęcia tematów zostawionych na po wojnie jest wspomniany artykuł w „Przeglądzie Geopolitycznym”. Czasami jest tak, że z całego tekstu uwagę czytelnika przykuwa jakiś fragment i wtedy u czytelnika „zapala się czerwona lampka”. U autora tych słów „czerwona lampka” zapaliła się na widok mapy na str. 47 zatytułowanej „historical lands of Ukraine”, na której „historyczne ziemie Ukrainy” rozciągają się od Chełma (na mapie oznaczonego ukraińską nazwą w transliteracji łacińskiej jako Kholm) i Przemyśla (Peremyshl) z Bieszczadami i Beskidem Niskim aż po Kubań. Z określenia „historical lands” może wynikać, że kiedyś istniało państwo ukraińskie w takich granicach. Oczywiście, nigdy takie państwo nie istniało. Inne narody też mogłyby przedstawiać swoje „ziemie historyczne”. Polskie „ziemie historyczne” mogłyby sięgać po Zbrucz albo jeszcze dalej – po Dzikie Pola, węgierskie „ziemie historyczne” obejmowałyby Zakarpacie, rumuńskie – Bukowinę, a rosyjskie – całą resztę Ukrainy. A wtedy na mapie w ogóle by zabrakło miejsca dla Ukrainy. Wynika z tego, że należy ostrożnie operować pojęciem „ziem historycznych”. Z objaśnień przy mapie wynika, że pod pojęciem „historical lands” rozumie się „ukraińskie terytorium etniczne”, przy czym rozróżnia się „zwarte ukraińskie terytorium etniczne” – większość obszaru na mapie łącznie z Przemyślem i okolicami i Bieszczadami i Beskidem Niskim po obu stronach obecnej granicy polsko-słowackiej (ciekawe, że nazwa Prešov występuje w oryginalnej słowackiej pisowni), z przygranicznymi terenami Białorusi i Kubaniem, i

terytorium mieszane” – południowa część Krymu i okolice miasta Starodub w Rosji. Pojęcie „terytorium etniczne” jest jeszcze bardziej niejasne niż „ziemie historyczne”. Terytorium w znaczeniu ziemi, pól, lasów itd. nigdy nie jest etniczne. Etniczna może być ludność na danym terytorium a etniczny skład ludności się zmienia. Każda mapa etniczna powinna przedstawiać stan na dany moment i wyraźnie to określać. Tego na tej mapie nie ma, a nie ma z powodu pewnego aksjomatu w ukraińskiej historiografii, a mianowicie, że ustalona w XIX wieku etniczna Ukraina sięga od „Sanu do Kubania” i mieszka na niej wyłącznie ludność ukraińska a inni – Polacy, Żydzi, Moskale i inni to obcy. Tak więc Przemysł z okolicami nie zasługuje nawet na kategorię „terytorium mieszanego etnicznie”. I to „ukraińskie terytorium etniczne” jest ponadczasowe, raz ustalone trwa niezmiennie. Współcześni Ukraińcy powinni być szczególnie ostrożni w używaniu kategorii „terytorium etniczne”, bo jednym z powodów agresji Rosji na Ukrainę było właśnie wyzwolenie etnicznych Rosjan.

I teraz dochodzimy do sedna rozważań, czyli do spraw zostawionych na „po wojnie”. Jednym z nich jest ustalenie i akceptacja granic państw, bez ponadczasowych „terytoriów etnicznych”, które mogą stać się podstawą roszczeń terytorialnych. Warunkiem wejścia do Unii Europejskiej jest bezwarunkowa akceptacja istniejących granic. Rezygnacja przez Niemcy ze swoich „historycznych” terytoriów umożliwiła wejście Polski i Czech, a rezygnacja przez Włochy ze swoich terytoriów „historycznych” umożliwiła wejście Słowenii i Chorwacji do UE. Oczywiście, nikt nie domaga się w UE ani gdzie indziej rezygnacji z badań historycznych, ale w tych badaniach trzeba wyraźnie zaznaczyć, że są to badania historyczne. I druga sprawa odkładana na „po wojnie” to Wołyń. Spuszczona na Ukrainie zasłona niepamięci musi być podniesiona. I z tym Ukraińcy i Polacy muszą się zmierzyć.

Wracając do wspomnianej mapy nasuwają się pytania dotyczące okoliczności jej publikacji. Redakcję „Przeglądu Geopolitycznego” można usprawiedliwić, a nawet pochwalić za jej publikację w imię wolności słowa i badań naukowych. Wątpliwości można mieć pod adresem polskiego współautora artykułu – czy nie zauważył takiego drobiazgu jak „Peremyszl” jako czysto ukraińskie miasto, czy nie było to dla niego problemem? Wydaje się, że należy uwrażliwić polskich autorów współpracujących z Ukraińcami czy piszących o Ukrainie, by nie powielali i nie ignorowali pewnych tez popularnych na Ukrainie. Strategiczny sojusz polsko-ukraiński nie może oznaczać lekceważenia polskich interesów narodowych, i pamiętanie o polskich interesach w

relacjach z Ukrainą nie jest „wbijaniem klina” ani służeniem interesom Rosji.<sup>1</sup>

**Roman Szul**

---

<sup>1</sup> Redakcja nie otrzymała odpowiedzi na tekst polemiki.

**Rola fizyków we współczesnej wojnie informacyjnej.  
Polemika z książką: „Nauka o klimacie” (aut. M.  
Popkiewicz, A. Kardaś, S. Malinowski, wyd. Sonia Draga,  
Katowice-Warszawa 2023)**

Nauki przyrodnicze długo uważane były za ideologicznie obojętne i relatywnie niezależne od toczących się konfliktów politycznych. Od przyrodników nie wymagano „politycznej poprawności”, a ich badania były odległe od przedmiotów ideologicznych sporów. Okoliczność ta okazała się m.in. istotna dla wielu geografów w okresie po II wojnie światowej. Kiedy w roku 1949 nauka radziecka stała się obowiązującym wzorcem metodologicznym, niektórzy z nich, zwłaszcza ci, co przed wojną prowadzili badania w zakresie antropogeografii, a zwłaszcza geografii politycznej lub geopolityki, aby nie narażać się na możliwość posądzenia o „burżuazyjne” lub „nacjonalistyczne odchylenie”, zdecydowali się na radykalną zmianę przedmiotu badań. Zamiast państwami i narodami zajęli się oni osuwiskami, procesami peryglacjalnymi lub ciekami wodnymi. Dzięki temu nie musieli udowadniać wyższości socjalizmu nad zachodnim kapitalizmem i byli bezpieczni, nawet jeżeli w swoich artykułach uniknęli cytowania klasyków marksizmu i przywódców politycznych.

Okres w którym geografia fizyczna stanowiła azyl dla antropogeografów i geopolityków, dobiegł jednak końca. Dzisiaj już nie tylko przedstawiciele nauk o Ziemi, ale nawet fizycy nie mogą się czuć bezpieczni. Wszyscy oni podlegają ideologicznej ocenie i w przypadku uzyskania wyników badań, które nie potwierdzają tezy zawartych w „obowiązującej” aktualnie narracji (dawniej mówiło się o niezgodności z „linią partii”), wszystkich mogą spotkać konsekwencje np. w postaci utrudnień w awansie naukowym, nie uzyskania grantu, odmowy przedłużenia zatrudnienia lub konieczności skorzystania z wcześniejszej emerytury. Nie muszą się niczego obawiać tylko ci, którym udaje się uzyskiwać wyniki badań potwierdzające tezy rozpowszechniane przez środowiska tzw. ekologów („zielonych”). Z przywileju tego korzystają niewątpliwie autorzy reklamowanej jako bestseller książki „Nauka o klimacie”, której trzecie wydanie nastąpiło w 2023 roku po pięciu latach od jej debiutu, podczas których uznana ona została w Polsce niemal za

„biblię” organizacji deklarujących konieczność ochrony klimatu Ziemi w obliczu postępującego globalnego ocieplenia. Są to fizycy z Uniwersytetu Warszawskiego: Marcin Popkiewicz, Aleksandra Kardaś i Szymon Malinowski, znani także z działalności popularyzatorskiej, za którą byli wielokrotnie nagradzani.

Ich dzieło, oprócz roli edukacyjnej polegającej na wyjaśnieniu „procesów sterujących klimatem”, pełni dzisiaj, bez względu na intencje autorów, ważną rolę propagandową. Jednym z głównych tematów diskutowanych w mediach jest bowiem tzw. polityka klimatyczna, a zwłaszcza zagadnienia ujęte w programie europejskiego „zielonego ładu”. Przeciwno tej polityce organizowane są w wielu krajach Europy masowe protesty ludzi, którzy nie chcą się zgodzić m.in. na następstwa wprowadzanych już ograniczeń w wykorzystywaniu paliw kopalnych, oraz na wymagane przez „zielony ład” zmiany w stylu życia (np. ograniczenie w podróżowaniu, zmiana sposobu odżywiania). Z punktu widzenia środowisk popierających „politykę klimatyczną” Komisji Europejskiej, pojawienie się nowego wydania dzieła warszawskich fizyków wynikało z potrzeby chwili. Dla wielu, zwłaszcza młodych czytelników, stała się ona naukowym uzasadnieniem dla tej polityki i niewątpliwie zwiększyła społeczne dla niej poparcie, redukując zarazem zainteresowanie trwającą w Polsce akcją zbierania podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie odrzucenia zapisów „zielonego ładu”. Autorzy postanowili wykorzystać swój autorytet badaczy w trwającej obecnie wojnie informacyjnej, przedstawiając argumenty mające podważyć odmienne poglądy i rozwiązać wszelkie wątpliwości. Ponieważ na klimat wpływ ma wielka ilość czynników, zwraca uwagę ogromna pewność siebie, z jaką autorzy głoszą swoje tezy, starając się dyskredytować przy okazji poglądy „negacjonistów”. Taka pewność siebie musi budzić podejrzenie, gdyż badaniom naukowym dotyczącym tak skomplikowanych zagadnień i wymagającym nowatorskich podejść, zawsze towarzyszył wysoki poziom niepewności i kontrowersji między badaczami. Znaną i godną szacunku cechą fizyków była dotychczas daleko idąca powściągliwość i ostrożność w formułowaniu kontrowersyjnych wniosków, zwłaszcza wówczas, kiedy budziło to społeczne zainteresowanie. W „*Nauce o klimacie*” takich istotnych społecznie wniosków jest bardzo wiele, ale u autorów wcale nie widać ostrożności i powściągliwości widocznej u dawnych badaczy, jaka wynikała z cechującej ich pokory wobec majestatu przyrody.

Ponieważ „*Nauka o klimacie*” to bardzo obszerne i wielowątkowe dzieło, poniżej rozpatrzone zostaną tylko jego najważniejsze aspekty,

stanowiące obecnie główne „artykuły ekologicznej wiary”, rozpowszechnianej przez głośne organizacje typu „Ostatnie Pokolenie”, osławioną Gretę Thunberg, a także będącej przedmiotem wielkiej uwagi ze strony Komisji Europejskiej. Można je streścić w czterech twierdzeniach:

- 1) Wzrost średnich temperatur na powierzchni Ziemi z jakim mamy do czynienia jest czymś wyjątkowym w historii naszej planety i zagraża przetrwaniu ekosystemów;
- 2) Równie wyjątkowy i niebezpieczny jest wzrost zawartości dwutlenku węgla w powietrzu atmosferycznym, będący skutkiem działalności gospodarczej, a zwłaszcza spalania dużych ilości paliw kopalnych;
- 3) Obecność dwutlenku węgla w powietrzu to główny czynnik napędzający wzrost temperatury, dlatego istnieje pilna konieczność radykalnych działań mających na celu zmniejszenie stężenia dwutlenku węgla w atmosferze;
- 4) Powyższe trzy tezy akceptowane są przez wszystkie istniejące poważne instytucje naukowe, uniwersytety i organizacje międzynarodowe.

Przypatrzmy się na sposób prezentacji poszczególnych zagadnień, proponowany przez warszawskich fizyków, będących m.in. specjalistami w zakresie modelowania klimatu oraz badań pochłaniania promieniowania przez gazy zawarte w atmosferze.

### **Temperatura powietrza**

Bardzo precyzyjny wydaje się wykres ze strony 24, ukazujący zmiany temperatury powierzchni Ziemi w okresie 1850-2020. Można z niego odczytać, że zrobiło się w tym czasie cieplej o około 1°C. Autorzy wielokrotnie podkreślają, że jest to zmiana w stosunku do poziomu z „okresu przedprzemysłowego”, co ma w oczywisty sposób stworzyć u czytelnika przeświadczenie, że przyczyną postępującego ocieplenia jest spalanie paliw na wielką skalę zapoczątkowane przez rewolucję przemysłową. Osoby znające historię zmian klimatu w holocenie (czyli od zakończenia ostatniego zlodowacenia) wiedzą, że na wieki XVI-XVIII przypada największa fala zimna w ostatnich 10 tysiącach lat, nazywana „małą epoką lodową”. Przez Bałtyk podróżowano wówczas saniami, a Holendrzy na obrazach flamandzkich mistrzów jeździli po kanałach na łyżwach. Wzrost temperatury zarejestrowany od połowy XIX wieku nie jest więc konsekwencją rozwoju przemysłu, ale stanowi element naturalnych fluktuacji, które miały miejsce także przed pojawieniem się

ludzi na Ziemi. O tym, że zmiany temperatury w ostatnich wiekach wcale nie są następstwem rosnącej emisji CO<sub>2</sub>, świadczy też analiza przedstawionego wykresu. Wynika z niej bowiem, że w latach 1878-1912 oraz 1940-1976 temperatura zamiast rosnać, obniżała się. A były to przecież dekady szybkiego wzrostu zużycia paliw kopalnych!

Zamiast tłumaczyć tego typu fakty, które nie mogą służyć potwierdzeniu założonej na wstępie tezy, autorzy postanowili przyjąć za jednym z autorów „*Nature*” z 2017 roku, że holocen to czas stabilizacji klimatu i „*epoka nie zmieniających się znacząco temperatur*” (s. 28, ponownie s. 209). A przecież miały wówczas miejsce istotne dla rozwoju cywilizacji okresy ocieplenia (takie jak tzw. holocenijskie optimum klimatyczne sprzed około 6-7 tys. lat, ocieplenie w okresie rzymskim, oraz optimum średniowieczne w latach 950-1250), które pokrywają się z fazami rozkwitu cywilizacji. Te pomyślnie dla ludzi okresy rozdzielone były falami chłodu, kiedy temperatura spadała o około 1-2°C. Te ostatnie zapisały się w historii niezbyt korzystnie i są związane z masowymi migracjami (np. „wielkie wędrówki ludów”), utratą plonów, głodem i towarzyszącymi im wojnami (np. szwedzki „potop”). Zmiany temperatury w holocenie, chociaż tak istotne, zostały przez autorów zignorowane, gdyż nie da się ich powiązać z emisjami CO<sub>2</sub>, a ich cykliczność wskazuje raczej na astronomiczne i geofizyczne przyczyny, zupełnie nie związane z ludzką działalnością. Pomijając trwającą wciąż dyskusję dotyczącą rekonstrukcji zmian klimatu w holocenie autorzy twierdzą, że jedynym istotnym zakłóceniem podczas stabilnego termicznie holocenu jest gwałtowny wzrost temperatury w ostatnich dekadach, oraz że obecna temperatura przekracza „*średnią temperaturę najcieplejszego stulecia holocenu o ponad 0,3°C*”. Przyjęcie takiego obrazu holocenu wymaga odrzucenia całej dotychczasowej o nim wiedzy. A przecież wyniki badań nad zmianami klimatu skorelowane są z wydarzeniami historycznymi, których autentyczność jest potwierdzona dokumentami i dowodami archeologicznymi. Np. jeżeli holocen był okresem stabilnym termicznie, to dlaczego osadnictwo na Grenlandii rozwinęło się akurat w X wieku i przetrwało do XV wieku, kiedy pojawiły się oznaki nadchodzącej „małej epoki lodowej”? Bezpodstawne jest też stwierdzenie ze strony 29, że obecnie temperatura „*jest największa co najmniej od interglacjalu eemskiego*”. Po prostu nasza znajomość zmian temperatury w interglacjale eemskim nie jest wystarczająco szczegółowa (nie dotyczy pojedynczych lat ani dekad), aby można było dokonywać tego typu porównań. Porównywalne temperatury jak obecnie miały miejsce w latach 30-tych XX wieku, ale tego autorzy wolą



nie wspominać. Nigdzie we wskazanym opracowaniu nie napisano, że **w historii naszej planety niewiele było momentów, kiedy temperatura byłaby tak niska jak obecnie**, a wyższe temperatury niż w holocenie były w każdym z wcześniejszych interglacjałów, czyli cieplejszych okresów rozdzielających poszczególne zlodowacenia (por. Scotese, 2002; Ruddiman, 2013).

Pomijanie niewygodnych faktów to nie jedyny sposób służący przekonaniu czytelnika o tym, że aktualne globalne ocieplenie ma charakter wyjątkowy w historii Ziemi, co wskazuje na „winę” człowieka. Aby taki cel osiągnąć, autorzy uciekają się do zwykłego kłamstwa, pisząc o klimatologach z lat 70-tych i 80-tych ubiegłego wieku, przewidujących „wzrost temperatury i rekordowe fale upałów” (s. 315). Istnieją na szczęście jeszcze źródła z tamtych czasów, no i żyje sporo osób, które pamiętają, że dość powszechnie mówiono wówczas nie o ociepleniu, ale o nadchodzącym kolejnym zlodowaceniu i globalnym ochłodzeniu!<sup>2</sup> Są niestety takie momenty w „*Nauce o klimacie*”, które uderzają we wiarygodność autorów, podważając ich naukową rzetelność.

### **Dwutlenek węgla w atmosferze**

O ile tak wysokich temperatur jak obecnie nie mieliśmy według autorów od interglacjału eemskiego, to „*obecne stężenie CO<sub>2</sub> jest prawdopodobnie najwyższe w ciągu ostatnich milionów lat*” (s. 33). Wyrażenie „miliony lat” wywołać ma u czytelnika wrażenie, że nigdy nie było z dwutlenkiem węgla tak źle, tzn. nigdy nie było go tak dużo jak obecnie. Tymczasem prawda jest diametralnie odmienna: **nigdy w historii Ziemi nie było tak mało dwutlenku węgla w atmosferze jak podczas kilku ostatnich milionów lat**. Wyjątkiem są zlodowacenia permskie przed około 290 mln lat, kiedy jego stężenie było równie niskie jak obecnie, co można wyczytać z wykresu na stronie 35 (por. m.in. Scotese, 2002; Pagani et al., 2005; Ruddiman 2011; Epstein, 2023). Chcąc wzbudzić trwogę z powodu zagłady nadchodzącej za sprawą rosnącej koncentracji CO<sub>2</sub>, autorzy okazują się mistrzami konfabulacji, a fakt, że wcześniej, przez setki milionów lat, dwutlenku węgla w powietrzu było wielokrotnie więcej, autorzy kwitują stwierdzeniem, że „*stężenie CO<sub>2</sub> bywało znacznie wyższe niż obecnie*” (s. 35). W konsekwencji autorzy nie

---

<sup>2</sup> Potwierdza to m.in. artykuł Petera Gwynne: <https://www.scribd.com/doc/225798861/Newsweek-s-Global-Cooling-Article-From-April-28-1975> (dostęp 15-05-2024). Z kolei Samuel Matthews (1976) na podstawie badań uczonych amerykańskich i radzieckich pisał o możliwości powstania lądolodów na obszarach międzyzwrotnikowych i zamarznięcia oceanów.



muszą tłumaczyć, co stało się z ogromnymi ilościami dwutlenku węgla, który w geologicznej przeszłości znajdował się w atmosferze. W rzeczywistości został on zasymilowany w procesie fotosyntezy przez rośliny, których szczątki (jak i szczątki zwierząt dla których były one pokarmem) tworzą wielkie złoża skał pochodzenia organicznego, w tym węgla i innych paliw kopalnych. Starając się skoncentrować uwagę czytelnika na wzroście zawartości CO<sub>2</sub> w powietrzu, autorzy posługują się powszechnie w nauce przyjętą jednostką miary, jaką jest ppm (parts per million). Unikają oni jednak wyjaśnienia, że jednostki tej używa się do wyrażenia zawartości składników występujących w bardzo małych, śladowych ilościach. Nie pisze się na przykład, że zawartość tlenu w atmosferze wynosi 209500 ppm gdyż komunikat, że gaz ten stanowi około 21% składu powietrza, jest prostszy i łatwiej trafia do wyobraźni. Treść „*Nauki o klimacie*” pokazuje jednak, że autorom nie zależy na tym, aby czytelnik wyobraził sobie skalę problemu. Poprzestają oni na informacji o zarejestrowanym wzroście stężenia CO<sub>2</sub> z 280 do 420 ppm (czyli o 50%, oczywiście w porównaniu z „okresem przedprzemysłowym”!) licząc, że wzbudzi to poważne obawy o przyszłość klimatu. Okazuje się, że w książce, w której głównym „bohaterem” jest dwutlenek węgla, nie ma zapisu, że **CO<sub>2</sub> stanowi w atmosferze zaledwie ułamek promila**, a ewentualny spadek jego zawartości (do poniżej 180 ppm) byłby równoznaczny z ustaniem procesów fotosyntezy, co oznaczałoby zagładę życia na Ziemi. Autorzy ukrywają te fakty, gdyż zależy im jedynie na przekonaniu czytelników o szkodliwości emisji dwutlenku węgla. Tymczasem istnieją przecież miejsca, takie jak hermetyczne szklarnie, gdzie zawartość CO<sub>2</sub> jest sztucznie podniesiona (czasami nawet wielokrotnie), w których przyrost masy roślinnej jest znacznie szybszy niż na zewnątrz, bez żadnych negatywnych konsekwencji dla pracujących tam ludzi. Badania tego rodzaju dawno wyszły poza fazę eksperymentalną, a wiodącym ośrodkiem jest Centrum Badań nad Dwutlenkiem Węgla i Zmianami Globalnymi w Tempe w stanie Arizona (Idso, 2012; por. też Donohue i inni, 2013; Moore, 2016).

Do skutecznego przekonania, że to dwutlenek węgla emitowany przez człowieka napędza globalne ocieplenie służą nie tylko zabiegi erystyczne, ale także obrazy. Na s. 446 zamieszczono mapę ukazującą koncentrację CO<sub>2</sub> w środkowej troposferze, wykonaną w 2011 roku na podstawie detektorów satelitarnych. Jak się okazuje, największe stężenia są nad obszarami na północ od Zwrotnika Raka, a zwłaszcza nad Ameryką Północną oraz nad północno-wschodnimi Chinami. Są one

zaznaczone ciemno-czerwonym kolorem, podczas gdy dla kontrastu obszary przyrównikowe i Ocean Południowy, gdzie koncentracja CO<sub>2</sub> jest najmniejsza, oznaczone są odcieniami błękitu. Użyta skala barw sugeruje wielkie różnice między wymienionymi obszarami i komunikuje problem w sposób alarmistyczny. Aby rozpoznać rzeczywistą skalę problemu należy odczytać wydrukowane małą czcionką objaśnienia, co oznaczają poszczególne kolory. Otóż wynika z nich, że najniższe zanotowane stężenie CO<sub>2</sub> wyniosło 388 ppm (gdzieś nad oceanem między Afryką a Antarktydą), a najwyższe - 395 ppm (nad wschodnią Kanadą). Różnica wynosi więc 7 ppm, czyli zaledwie 1,8%, mieszcząc się zapewne w granicach błędu statystycznego! Według autorów jest to jednak różnica nakazująca im bić na alarm. Dlatego w sposób skrajnie tendencyjny zastosowali skalę barw, dzięki której lądy półkuli północnej jawią się jako obszary ekologicznej katastrofy.

Oprócz konsekwentnego przemilczania zbawiennych dla życia konsekwencji obecnego wzrostu zawartości CO<sub>2</sub> w powietrzu, autorzy w tendencyjny sposób ukazują zmiany koncentracji tego gazu w historii geologicznej. Robią to w taki sposób, aby za wszelką cenę wykazać związek tych zmian ze zmianami średniej temperatury powietrza.

### **Zależność między temperaturą i zawartością CO<sub>2</sub> w atmosferze**

Zależność ta została zilustrowana na dwóch wykresach na s. 34-35, ukazujących jak zmieniały się obydwie parametry w ciągu ostatnich 500 mln lat historii Ziemi. Pobieżny rzut oka na wydrukowane obok siebie wykresy pozwala zauważyć podobieństwo kształtu obydwu krzywych. Okazuje się jednak, że wykresy nie ujawniają wszystkiego, a zakładana zależność nie jest wcale oczywista. Nie zaznaczono mianowicie bardzo wysokiego stężenia CO<sub>2</sub> podczas głębokiego ochłodzenia na przełomie ordowiku i syluru, okazuje się też, że wielkiemu ociepleniu w triasie wcale nie towarzyszył porównywalny wzrost poziomu CO<sub>2</sub>, a jego spadku nie zanotowano podczas istotnych ochłodzeń pod koniec jury. Wręcz przeciwnie, ochłodzeniu towarzyszył nie spadek, ale wzrost poziomu CO<sub>2</sub>! (z 2 do ponad 3 tys. ppm). Chociaż w kredzie temperatury ponownie były bardzo wysokie (6-8°C wyżej niż obecnie), stężenie CO<sub>2</sub> nie osiągnęło dawnego poziomu, wykazując trwającą do czasów współczesnych tendencję spadkową (por. Ruddiman, 2013). Rekonstrukcje zmian koncentracji CO<sub>2</sub> i temperatury na wspomnianych wykresach są wykonane w zmiennych skalach (pionowej i poziomej), bez czego kształty krzywych nie byłyby w ogóle do siebie podobne. Dostosowując skale autorzy dopuścili się kolejnej manipulacji,

mającej na celu wywołanie wrażenia, że zmiany temperatury towarzyszą zmianom koncentracji CO<sub>2</sub>. Gdyby istotnie zależało im na porównaniu zmian obydwu parametrów, przedstawiliby po prostu obydwie krzywe na jednym wykresie. Rysunki takie są obecne w wielu publikacjach (także w cytowanych wyżej podręcznikach Ruddimana, Scotese i Epsteina) i widać z nich, że związku między temperaturą a stężeniem CO<sub>2</sub> w geologicznej skali czasu udowodnić się nie da. O wiele wyraźniejszy związek występuje między temperaturą a aktywnością Słońca, co widać z wykresu na s. 70. Wyraźnie nie satysfakcjonuje to autorów podkreślających, że „*zmiany całkowitego strumienia energii słonecznej nie są jedynym mechanizmem wpływającym na klimat Ziemi*” (s. 71). Wspominają też o wpływie cząsteczek wiatru słonecznego na powstawanie chmur, zapominając jednak o kluczowym znaczeniu promieniowania kosmicznego, którego dostęp do atmosfery jest blokowany przez wiatr słoneczny, co sprawia że w atmosferze powstaje mniej jąder kondensacji, jest mniej chmur odbijających promieniowanie, co przyczynia się do podniesienia temperatury. Korelację między zachmurzeniem a cyklicznie zmieniającym się natężeniem promieniowania kosmicznego odkrył pod koniec ubiegłego wieku duński badacz Henrik Svensmark, a obecnie badania tego zjawiska prowadzi Nir Shaviv z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Pominięcie tak ważnego aspektu przez autorów jest zaskakujące zwłaszcza w kontekście informacji podanych na s. 75-82, z których wynika, że **gazem posiadającym największą zdolność do pochłaniania promieniowania długofalowego emitowanego przez Ziemię jest para wodna, której średnia zawartość w atmosferze jest dziesięciokrotnie większa od zawartości dwutlenku węgla**. O koncepcji Svensmarka autorzy piszą w rozdziale poświęconym chmurom, jednak odmawiają jej słuszności, pomijając współczesne wyniki osiągnięte przez Nira Shaviva.

O ile korelacji między średnimi temperaturami powierzchni Ziemi a zawartością dwutlenku węgla w atmosferze nie widać, kiedy badamy obydwie parametry w skali **setek milionów lat**, to jest ona bardzo wyraźna, kiedy obserwujemy je w ciągu ostatnich **setek tysięcy lat** (plejstocen). Wykres ze strony 200 nie pozostawia wątpliwości: obydwie zmienne łączy bardzo silna korelacja! Autorzy od razu zakładają, że jest ona dowodem na istnienie związku przyczynowo-skutkowego (s. 33). Zapewne zapomnieli oni, że korelacja nie zawsze oznacza związek przyczynowo-skutkowy, gdyż czasami dwa nie związane ze sobą procesy zachodzą równolegle. Jeżeli jednak założymy że w tym przypadku tak

właśnie jest, logika nakazuje postawić fundamentalne dla analiz matematycznych pytanie, która zmienna jest niezależna, a która zależna, czyli co jest przyczyną a co skutkiem? Pytanie takie postawione jest we Wprowadzeniu, a z rozważań w części 3 nie wynika wprost, że to dwutlenek węgla napędza temperaturę. Autorzy uczciwie przyznają, że **„najpierw rośnie temperatura, a dopiero kilka stuleci później następuje wzrost stężenia gazów cieplarnianych”** (s. 33). Taki porządek zmian sugeruje, że to ocieplenie jest przyczyną, a skutkiem wzrost stężenia CO<sub>2</sub>. Potwierdza to opis zmian klimatu pod koniec ostatniego zlodowacenia. Autorzy mówią o początkowym wzroście temperatury spowodowanym czynnikami astronomicznymi (cykle orbitalne Milankovicia), czego konsekwencją było powolne podnoszenie temperatury wody w oceanach, co z kolei powodowało uwalnianie CO<sub>2</sub> z wody do atmosfery (s. 204-205). Cały ten wywód jest logicznie spójny, jednak zauważyć należy, że w przedstawionym scenariuszu wychodzenia z epoki lodowej, **początkowy impuls do wzrostu temperatury jest efektem cykli orbitalnych, a uwalnianie dwutlenku węgla z oceanów to konsekwencja ocieplenia!** Także obecny wzrost zawartości CO<sub>2</sub> w powietrzu można wytłumaczyć ociepleniem, jakie nastąpiło po „małej epoce lodowej” w XVI-XVIII wieku. Szkoda, że autorzy tylko raz wspomnieli o właściwości dwutlenku węgla, jaką jest jego bardzo dobra rozpuszczalność w wodzie, która rośnie wraz ze spadkiem temperatury. To dlatego przed otwarciem butelki z wodą gazowaną, czyli nasyconą CO<sub>2</sub>, warto ją nieco schłodzić. Braki takie zmniejszają edukacyjną wartość książki. Nie znajdujemy w niej także ważnej dla zrozumienia sprawy informacji, że w związku z rozpuszczalnością, ogromna większość (około 98,3%) obecnego na Ziemi dwutlenku węgla znajduje się nie w atmosferze, ale w oceanach. Ten ogromny rezerwuar gazu rozpuszczonego w wodzie reaguje na jej temperaturę, uwalniając gaz do atmosfery na skutek ogrzania, i przyjmując go z powrotem do oceanu w przypadku spadku temperatury. Pojawienie się dużych ilości CO<sub>2</sub>, przy założeniu stabilnej temperatury powoduje, że jego nadmiar ulega rozpuszczeniu w oceanie, a kiedy jego zawartość w powietrzu staje się zbyt niska przy danej temperaturze, deficyt uzupełniany jest z oceanicznego rezerwuaru, o ile temperatura nie zacznie spadać. To oceany pokrywające większość powierzchni globu są regulatorem klimatu, utrzymując w równowadze główne parametry, takie jak temperatura atmosfery i jej skład. Taki właśnie wniosek nasuwa się z części 3 książki. Autorzy w *Podsumowaniu* piszą jednak

wyłącznie o kluczowym znaczeniu jednego tylko czynnika warunkującego klimat, tj. o gazach cieplarnianych (s. 228).

W 4 części książki autorzy starają się zaprzeczyć, jakoby wzrost koncentracji dwutlenku węgla w atmosferze mógł być skutkiem podnoszenia się temperatury oceanów (s. 246). W ferworze szacowania „czułości klimatu”, czyli wzrostu temperatury spowodowanego podwojeniem stężenia CO<sub>2</sub> w powietrzu, nie myślą nawet o tym, aby wyliczyć współczynnik odwrotny, mówiący o ile wzrośnie zawartość tego gazu w atmosferze po podniesieniu średniej temperatury wody oceanicznej o określoną wielkość. Tego typu obliczenia byłyby bardzo uzasadnione w obliczu ujawnionych sprzężeń zwrotnych łączących omawiane parametry, chociaż nawet bez obliczeń można stwierdzić, że podniesieniu temperatury o 1°C jakie nastąpiło od 1850 roku towarzyszył wzrost zawartości dwutlenku węgla w powietrzu o 50% (z 280 do 420 ppm). W książce temat ten nie istnieje, gdyż nie jest on zgodny z założoną na wstępie tezą o jednokierunkowym wpływie dwutlenku węgla na klimat.

Tendencyjność autorów widoczna jest w wielu momentach: kiedy pomijają lub pomniejszają dobroczynny wpływ dwutlenku węgla na wegetację roślin, kiedy podają nieprawdziwe informacje o odchodzeniu Chin od „najbrudniejszego” źródła energii jakim jest węgiel (s. 241), kiedy nie dostrzegają zmian zawartości CO<sub>2</sub> i temperatury powietrza w czasach historycznych (od połowy XVI wieku), co nie mogło być spowodowane emisją antropogeniczną (s. 250), kiedy pomijają naturalne przyczyny zakwaszania oceanów (s. 252), czy też kiedy pomniejszają wpływ pary wodnej na klimat (s. 259). Ponieważ duża część społeczeństwa jest świadoma znaczenia pary, gdyż nie raz oglądała od góry jarząco-białe, odbijające promieniowanie słoneczne powierzchnie chmur, w książce pojawia się rozróżnienie między „wymuszeniem zmiany klimatu”, które jest pierwotne i odpowiada czynnikowi wpływającemu na klimat, a wtórnym „*dodatnim sprzężeniem zwrotnym*” wzmacniającym tylko ten czynnik. Para wodna postawiona jest w tej drugiej, podrzędnej roli, a w roli głównej obsadzony został oczywiście dwutlenek węgla (s. 156). Wywody zawarte w większości rozdziałów drugiej, najważniejszej części książki, także przez wprowadzanie pewnych pojęć i rozróżnień, stają się trudno zrozumiałe. Np. na stronie 161 czytamy: „*Patrząc na tabelę 2.9.1., można zauważyć, że gdyby z atmosfery usunąć inne gazy cieplarniane, to sama para wodna zapewniłaby większość efektu cieplarnianego*”. Już w kolejnym zdaniu mamy stwierdzenie, że „*gdyby usunąć wpływ efektu cieplarnianego*

*innych, długo żyjących gazów cieplarnianych, to temperatura spadłaby o prawie 10°C*". Autorzy powinni się tu zdecydować: albo usunięcie innych poza parą gazów nie zmieniłoby temperatury, albo doprowadziłoby do jej spadku o 10°C!? Wygląda to tak, jak gdyby każde z przytoczonych stwierdzeń pochodziło z innej publikacji. Źle to świadczy o autorach, a także o pracy redaktorek, które na stronie redakcyjnej przedstawione są mającym budzić zaufanie wyrażeniem „Słowne Babki”. A jest to tylko jeden przykład rażącej sprzeczności zawartych w treści „*Nauki o klimacie*”. Książka funkcjonuje na rynku od ponad 5 lat i ma entuzjastyczne recenzje, których fragmenty zamieszczono na początku. Czyżby nikt z opiniujących nie zauważył błędów? A może jest to kolejne dzieło z kategorii tych, „na które wszyscy się często powołują, a które równie często czytane nie są”?

Przewidując katastrofalne ocieplenie w efekcie wzrostu emisji CO<sub>2</sub> („*nawet o 4,5°C lub więcej*”, s. 186), autorzy postanowili pominąć fakt, że efekt cieplarniany jest zjawiskiem o charakterze nieliniowym, ale postępuje według trajektorii logarytmicznej malejącej (Myhre, 1998). Oznacza to, że każda kolejna cząsteczka CO<sub>2</sub> dodana do atmosfery nie podnosi temperatury o tyle samo co poprzednia, lecz o około połowę mniej, a kolejna połowę poprzedniej itd. Powodem, dla którego efekt cieplarniany ma charakter malejący, jest nasycenie: każda dodatkowa cząsteczka CO<sub>2</sub> pochłania mniej ciepła emitowanego z Ziemi (którego ilość jest ograniczona), tak jak każda dodatkowa para okularów przeciwsłonecznych zatrzymuje mniejszą ilość światła (pierwsza para blokuje np. połowę docierającego światła, druga zatrzymuje połowę z tego, co przepuściła pierwsza para, itd.). Dlatego właśnie ze wzrostem ilości CO<sub>2</sub> w powietrzu, jego wpływ na ocieplanie klimatu szybko maleje! Autorzy nie wspominają o pewnych dyskutowanych w literaturze faktach. M.in. pomijają oni wpływ tzw. „miejskich wysp ciepła” (gdzie temperatury mogą być nawet o 5°C wyższe niż na otaczających terenach wiejskich) na wyniki pomiarów temperatury. Otóż termometry, które niegdyś poustawiano poza obszarami zurbanizowanymi, obecnie w znacznej części mierzą temperatury wyższe z uwagi na ekspansję miast, jaka nastąpiła już po ich zainstalowaniu. To z tego powodu ukazywane na mapach temperatury nad lądami półkuli północnej są znacznie wyższe od temperatur mierzonych na pozostałych obszarach. O błędach pomiarowych autorzy piszą wprawdzie, ale „miejskie wyspy ciepła” nie wydają się im racjonalnym wytłumaczeniem znacznie wyższych odczytów na lądach półkuli północnej. Autorzy najwyraźniej nie przyjmują do wiadomości teorii opartych na najnowszych pomiarach, z



których m.in. wynika, że to nie radiacja, ale konwekcja odpowiada za większość transferu ciepła z powierzchni Ziemi do atmosfery, że nie istnieje coś takiego jak antropogeniczne globalne ocieplenie, a wszelkie obliczenia „czułości klimatu” nie biorą pod uwagę wyników pomiaru absorpcji promieniowania podczerwonego przez atmosferę. Twórca tej teorii, fizyk i badacz atmosfery Ferenc Miskolczi, wykazał, że nie istnieje żadna czułość klimatu ani „pozytywne sprzężenie zwrotne” pary wodnej (Miskolczi, 2010), obalając założenia przyjęte przez autorów „*Nauki o klimacie*”. Przeprowadzone przez niego eksperymenty wykazały, że wzrost temperatury w szklarni wcale nie jest konsekwencją tego, że szyba nie przepuszcza promieniowania cieplnego, ale wynika z faktu, że dach szklarni uniemożliwia ruch powietrza! Aby wykluczyć słuszność prac badaczy takich jak Miskolczi, autorzy „*Nauki o klimacie*” przytoczyli analizy tego typu prac **przeprowadzonych w 2017 roku**. Znaleźli w nich oczywiście „*liczne mankamenty metodyczne [...], ignorowanie informacji nie pasujących do konkluzji autorów*”, itp. (s. 321). Zgodnie z informacją ze strony 520, publikacja wspomnianych krytycznych analiz miała miejsce **w 2016 roku**, czyli na rok przed ich przeprowadzeniem! Jest to kolejny moment całkowicie podważający zaufanie czytelnika do autorów, którzy zdają się liczyć tylko na to, że nikt nie będzie czytał ich książki w sposób wnikliwy i krytyczny.

### **Naukowy konsensus?**

Fizycy warszawscy w swoich sądach nie są bynajmniej oryginalni. Na stronie 19 podkreślają, że „*nie ma obecnie już ANI JEDNEJ dużej organizacji naukowej*”, która kwestionowałaby tezę, że to człowiek, emitując CO<sub>2</sub> i inne gazy, jest głównym sprawcą katastrofального ocieplenia klimatu. Według autorów powołujących się na liczne autorytety (także samych siebie!), tylko 2-3% „*błędnie rozumiejących fizykę*” naukowców nie wspiera wniosku o powodowanym przez człowieka globalnym ociepleniu (s. 321). Dowodem na to ma być obraz zawierający czterdzieści logotypów instytucji z całego świata, które takie właśnie stanowisko podzielają. Chociaż autorzy zdają sobie sprawę, że „*nauki nie uprawia się przez głosowanie*”, każą czytelnikowi wierzyć w „*jednogłośną opinię instytucji badawczych*” o przemożnym wpływie człowieka na klimat (s. 20). Pisząc o niedemokratycznym charakterze badań naukowych i konieczności „*dyktatury obserwacji i faktów*”, starają się stworzyć wrażenie poprawności metodologicznej, która w ich rozumieniu polega na „*weryfikacji formułowanych hipotez na drodze obserwacji i eksperymentów*”. Nie ma natomiast mowy o możliwości



falsyfikowania hipotez opartych na poglądach negacjonistów, które przytaczane są w niewielkim stopniu, i tylko po to, by je ośmieszyć, napiętnować i przeciwstawić artykułom z czasopism recenzowanych, takich jak „*Science*” i „*Nature*”, które jako jedyne mają być godne zaufania. Podkreślając konieczność weryfikacji hipotez autorzy, w przeciwieństwie do większości fizyków, wykazali nieznaną nauki Karla Poppera (1976), który wykazał, że nie jest możliwe dowodzenie prawdziwości teorii na podstawie zdań obserwacyjnych w taki właśnie sposób. Ich niezbyt wygórowany poziom świadomości metodologicznej ujawnia się też w postaci bezgranicznego zaufania dla wybranych, renomowanych czasopism. Najwyraźniej nie słyszeli oni o mechanizmach wpływających na rozwój nauki, jakie opisał Paul Feyerabend (1996; por. także Heller, 1992), ani o współczesnym tzw. kryzysie replikacji, który polega na tym, że tylko około połowa artykułów publikowanych w „*Science*” i „*Nature*” to prace, których wnioski zostały potwierdzone w niezależnych badaniach. Oznacza to, że ta druga połowa to artykuły nie mówiące prawdy. Daniel Kahneman z Uniwersytetu Princeton podał jedną z przyczyn tego stanu rzeczy: *„Chęć odniesienia sukcesu pociąga za sobą wysokie koszty osobiste i oczywiście finansowe. Poza tym, jeżeli coś badasz, to wiesz, co chcesz wykryć, a przez to dochodzi do tendencyjności, z której nie zdajesz sobie w pełni sprawy. Jest nawet taka koncepcja p-hackingu – że ludzie autentycznie oszukują siebie samych co do wyników własnych badań”* (Kahneman, 2023, s. 363). Autor ten wskazuje ponadto, co potwierdza także Aleksander Epstein (2022), że w wielu przypadkach badacze mogą być opłacani przez lobbystów, którzy z góry narzucają wnioski, co wyklucza rzetelność badań.<sup>3</sup> Zdarzają się też przypadki tendencyjności w interpretacji wyników badań, w celu podkreślenia ich przełomowego charakteru. Jest tak dlatego, że zaskakujące, rewelacyjne wyniki badań są natychmiast nagłaśniane przez media co sprawia, że zwiększa się prawdopodobieństwo pozyskania kolejnych grantów przez autora zaskakującego odkrycia. Tymczasem zasada jest taka, że im bardziej niespodziewany wynik, tym mniej prawdopodobne, że jest prawdziwy! Mimo to wielu badaczy wykazuje skłonność do wysuwania bardzo nieprawdopodobnych, zaskakujących, często katastroficznych tez. Być może tendencje wykryte przez naukowców i filozofów nauki dotyczą

---

<sup>3</sup> Jest to szczególnie istotne w kontekście ujawnianych przez media przypadków werbowania przez obce wywiady pracowników naukowych do uczestnictwa w działalności organizacji „ekologicznych”. Nie należy tu jednak zakładać, że także warszawscy fizycy mają swoich oficerów prowadzących.

także autorów „*Nauki o klimacie*”. Oni także formułują katastroficzne wizje, nie kryjąc swoich programów społeczno-gospodarczych. Wspominanie takich postaci jak Arystarch z Samos, Kopernik, Galileusz, Eddington, Maxwell i Einstein to w ich wykonaniu zwykły zabieg erystyczny, dzięki któremu teza główna książki, czyli wpływ antropogenicznych emisji na klimat, będzie kojarzona z tymi wielkimi osobistościami światowej nauki. Autorzy na s. 20 sformułowali pytanie na które czytelnik ma sobie odpowiedzieć sam: „*Gdyby dziś Arystarch, Kopernik czy Galileusz przyjrżeli się dyskusjom dotyczącym zmiany klimatu [...], kogo by poparli?*” Celem takiego postawienia sprawy jest próba wywołania wrażenia, że tezę o antropogenicznej przyczynie zmiany klimatu potwierdza cała światowa nauka.

Zawarte we Wprowadzeniu zapewnienia autorów o tym, że wśród „poważnych” naukowców nie ma już nikogo, kto wątpliwy w katastrofę klimatyczną wywołaną przez emisję CO<sub>2</sub>, brzmią bardzo przekonująco. Czytelnika, który dotrwał cierpliwie do końca książki, czeka jednak jeszcze jedna niespodzianka. Autorzy ujawniają bowiem (w rozdziale 6.4), że mimo wszystko istnieje dość liczna grupa organizacji naukowych i tysiące badaczy, nie należących bynajmniej do kategorii „miłośników globalnego ocieplenia”. To te właśnie organizacje psują całą robotę głosicielom „klimatycznego armagedonu”, tworząc „przemysł sfabrykowanych wątpliwości” (s. 471). W opinii autorów „*Nauki o klimacie*”, przedstawiciele tychże organizacji, okłamując samych siebie i innych, wulgaryzują naukę i wypełniają służalczo zleconą im przez m.in. koncerty paliwowe funkcję zwodzenia czytelnika i maskowania autorytetem uczoności istotnego stanu rzeczy. Nie o wszystkich odstępach od „ekologicznej wiary” w „*Nauce o klimacie*” jednak napisano. Nie ma wzmianki m.in. na temat współzałożyciela Greenpeace, Patricka Moore’a, który od połowy lat 80-tych stał się jednym z krytyków tej organizacji, podważając również główne tezy, na których oparta jest działalność współczesnych działaczy „ekologicznych” (Moore, 2016). W Polsce na szczególne potępienie autorów zapracował Komitet Nauk Geologicznych PAN, który w 2014 roku opublikował „*Stanowisko w sprawie zagrożenia globalnym ociepleniem*”. Z dokumentu nie wynika bynajmniej, że to emisja dwutlenku węgla przez człowieka jest przyczyną globalnego ocieplenia. Autorzy wykryli w treści dokumentu nieścisłość polegającą na tym, że stężenie CO<sub>2</sub> w atmosferze w plejstocenie nie wynosiło 400 ppm (jak napisali geologowie), a tylko 300 ppm (choć plejstocen obejmuje także interglacjaty, czyli okresy rozdzielające zlodowacenia, podczas których 400 ppm zapewne się

zdarzało). Na tej podstawie stwierdzono, że *„wszystkie punkty Stanowiska mają zbliżoną wartość naukową..., cała reszta dokumentów negacionistów również są sprzeczne ze stanem nauki”* (s. 475).

### **Od fizyki do polityki ekonomicznej**

W piątej części książki poświęconej przyszłości klimatu, na podstawie wyidealizowanych modeli opartych na wcześniej wyliczonych parametrach, takich jak czułość klimatu na wzrost stężenia CO<sub>2</sub>, autorzy zarysowują kilka scenariuszy wzrostu temperatury w przyszłości. Ponieważ model *„dotyczy jedynie emisji dwutlenku węgla”*, z pominięciem wszystkich pozostałych czynników, autorzy odpowiedzialnie piszą o *„wielkim stopniu niepewności co do przyszłości zmiany klimatu”*. Ta niepewność w ich rozumieniu wynika jednak wyłącznie z nieznamości skali przyszłych emisji (s. 339). Nie przeszkadza to brnąć autorom dalej w skomplikowane wyliczenia „budżetów węglowych”, z których wyciągają następnie kasandryczne wnioski o wymieraniu gatunków, wzroście poziomu morza, a także zagrożeniu głodem. To ostatnie niebezpieczeństwo wyjaśnione jest na stronie 341, gdzie czytamy: *„rośliny lepiej rosną przy wyższych stężeniach CO<sub>2</sub>”,* ale wcale nie musi to prowadzić do *„wzrostu produktywności roślin”* (s. 341). Najstraszniejsze według autorów jest to, że do roku 2100 temperatura wzrośnie o 4,3°C, a kolejna epoka lodowa nie nadejdzie z powodu emisji CO<sub>2</sub> (s. 362-363). Wynikające z ocieplenia przyspieszenie reakcji chemicznych (zgodnie z regułą van Hoffa wynosi ono od 2 do 4 razy przy podwyższeniu temperatury o 10°C; Bielański 1982), wpłynie niewątpliwie na procesy biologiczne. Według autorów „Nauki o klimacie” spodziewać się należy *„upośledzenia wyższych funkcji myślowych człowieka”* i *„spadku inteligencji”* (s. 365). Projekty mające zapobiec temu wszystkiemu, a polegające na wychwytywaniu CO<sub>2</sub> z atmosfery, tworzeniu „kosmicznych żaluzji” gdzieś w przestrzeni, mających rozpraszać promieniowanie słoneczne, to nowa wersja wielkich radzieckich idei z czasów stalinowskich, mających na celu ujarzmianie natury i zmianę klimatu poprzez tamy w oceanach i w miejscach takich jak Cieśnina Beringa. W przeciwieństwie do tego typu nierealnych wizji, całkiem realne jest to, że *„będą wprowadzane opłaty za emisje, będą wprowadzane cła węglowe, będą wprowadzane ambitne normy efektywności i bezemisyjności. Dla innowatorów będzie to szansą, dla próbujących zatrzymać świat w minionej epoce bolesnym zderzeniem z rzeczywistością”* (s. 406). Pod koniec futurystycznej części fizycy zamieniają się w ekonomistów i ekspertów w zakresie polityki gospodarczej, projektując nawet ceny

uprawnień do emisji CO<sub>2</sub> (do 350 euro za tonę w roku 2050). Nie wyjaśniają jednak, jak zamierzają nakłonić np. Chińczyków do wprowadzenia tego typu polityki.

Warszawscy fizycy pokazali w książce „*Nauka o klimacie*”, jak nie powinni postępować naukowcy: zamiast wnikliwie badać dowody świadczące przeciwko ich poglądom, odrzucają i wyśmiewają wszystko to, co do tych poglądów nie pasuje, zwątpienie zastępując niezachwianą pewnością; zamiast szukać prawdy starając się pokonywać napotymane trudności, twierdzą że prawdę już znają, ciesząc się jej zupełnością; zamiast starać się kwestionować i obalać naukowe poglądy, dążą do zabezpieczenia ich przed możliwością podważenia;<sup>4</sup> zamiast popierać krytykę, na wszelkie możliwe sposoby zwalczają „negacjonistów”, do których zaliczony został m.in. znany warszawski geolog Leszek Marks. Główny twórca „*Nauki o klimacie*”, fizyk Marcin Popkiewicz pokazał na przykładzie tego wybitnego uczonego, jak należy ich traktować, powołując się na własny utwór, gdzie pisał m.in. o „*roztrwonionym kapitale Marksa*” (s. 526). Jak widać, problemy naukowe przenoszone do internetowych portali, tracą swój naukowy charakter, stając się elementami wojny informacyjnej, w której wszystkie chwytły są dozwolone, i nawet brzmienie nazwiska może być wykorzystane jako oręż. Warszawskim fizykom, którzy odgrywają dzisiaj tak wielką rolę w nasilającej się wojnie informacyjnej należałoby zalecić więcej tzw. chłodnego naukowego sceptycyzmu i mniej pewności siebie w przewidywaniach temperatur jakie mają być za sto lat, skoro tak wiele pomyłek wciąż popełniamy w prognozach pogody na najbliższe dni. Jak zapisano w ostatnim (2024, dostępne w internecie) „*Stanowisku Komitetu Nauk Geologicznych PAN w debacie klimatycznej*”: „*spory naukowe dotyczące roli CO<sub>2</sub> w procesie zmian klimatu, często uwarunkowane konfliktami grupowymi lub personalnymi, powinny iść torem przyjętym w dyskursie naukowym, a nie odbywać się na forum publicznym, gdyż rozbieżne oceny powodują zamęt pojęciowy, chaos informacyjny, a nawet panikę, szczególnie wśród młodzieży*”. Tak, wzniecanie wojny informacyjnej nie powinno być udziałem naukowców, a zwłaszcza nie przystoi to fizykom. Kiedy nie stosują się oni do tej zasady, nie pozostaje nic innego jak wyciągnąć wnioski z twierdzenia Davida Krakauera (2023, s. 473), który odwołując się do Richarda

---

<sup>4</sup> Pełne zestawienie różnic dzielących naukę od doktryny ideologicznej podał Marian Mazur (1976, s. 18-19).

Feynmana, twórcy elektrodynamiki kwantowej i laureata Nagrody Nobla (1961), twierdzi, że uczony to ktoś, kto charakteryzuje się **fundamentalną podejrzliwością wobec ekspertów**. Podejrzliwość taką należy zachować wobec wszelkich kasandrycznych wizji, nawet jeżeli to prawda, że stoi za nimi 97% badaczy. Jak wykazał Mirosław Sułek (2017), mają one zdolność do szybkiego przenikania do świadomości społecznej bez względu na stopień ich zgodności ze stanem wiedzy naukowej.

Witold J. Wilczyński<sup>5</sup>

## Literatura

- Bieleński, A., 1982. *Chemia ogólna i nieorganiczna*, PWN, Warszawa.
- Donohue, R.J., Roderick, M.L., McVicar, T.R., Farquhar, G.D., 2013. *Impact of CO<sub>2</sub> fertilization on maximum foliage cover across the globe's warm, arid environments*, Geophysical Research Letters, 40, s. 3031-3035.
- Epstein, A.J., 2022. *Przyszłość paliw kopalnych*, Freedom Publishing, Wrocław.
- Feyerabend, P., 1996. *Przeciw metodzie*, Wyd. Siedmioróg, Wrocław.
- Heller, M., 1992. *Filozofia nauki. Wprowadzenie*, Wydawnictwo Naukowe Papierskiej Akademii Teologicznej, Kraków.
- Idso, C.D., 2012. *The State of Earth's Terrestrial Biosphere: How Is It Responding to Rising Atmospheric CO<sub>2</sub> and Warmer Temperatures?*, Center for the Study of Carbon Dioxide and Global Change, Tempe, AZ.
- Kahneman, D., 2023. *Mapa nieporozumień*, [w:] S. Harris (red.), *Nadając sens. Rozmowy o świadomości, moralności i przyszłości*, Grupa Wydawnicza Filia, Poznań, s. 361-402.
- Krakauer, D., 2023. *Złożoność i głupota*, [w:] S. Harris (red.), *Nadając sens. Rozmowy o świadomości, moralności i przyszłości*, Grupa Wydawnicza Filia, Poznań, s. 445-483.
- Matthews, S.W., 1976. *What's Happening to Our Climate?*, National Geographic, November.
- Mazur, M., 1976. *Cybernetyka i charakter*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa.

---

<sup>5</sup> Autor składa podziękowanie Panu Prof. Ignacemu Kitowskiemu za wnikliwe przejście opracowania i krytyczne uwagi.

- Miskolczi, F., 2010. *Greenhouse Effect and the IR Radiative Structure of the Atmosphere*, International Journal of Environmental Research and Public Health, no. 7, [www.mdpi.com/journal/ijerph](http://www.mdpi.com/journal/ijerph)
- Moore, P., 2016. *The Positive Impact of Human CO<sub>2</sub> Emissions on the Survival of Life on Earth*, Frontier Centre for Public Policy, Winnipeg, Manitoba.
- Myhre, G., i inni, 1998. *New Estimates of Radiative Forcing Due to Well-Mixed Greenhouse Gases*, Geophysical Research Letters, vol 25, no. 14, s. 2715-2718.
- Pagani, M., i inni, 2005. *Marked Decline in Atmospheric Carbon Dioxide Concentrations During the Paleogene*, Science, vol. 309, s. 600-603.
- Popper, K.R., 1977. *Logika odkrycia naukowego*, PWN, Warszawa.
- Ray, D.L., Guzzo, L., 1990. *Trashing the Planet*, Regnery Gateway, Washington, D.C.
- Ruddiman, W.H., 2013. *Earth's Climate. Past and Future*, W.H. Freeman & Company, New York.
- Scotese, C.R., 2002. *Analysis of the Temperature Oscillations in Geological Eras*. W.H. Freeman & Company, New York.
- Sułek, M., 2017. *Kasandryczne prognozy demograficzne – nauka, pseudonauka, czy ideologia?*, Przegląd Geopolityczny, 19, s. 9-21.



**Jerzy Gut, Janusz Liber, *Wybrane operacje sił i służb specjalnych Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii*, Difin, Warszawa 2024, ss. 268, ISBN 978-83-8270-310-8**



Dokonując szczegółowej analizy opracowań poświęconych operacjom wojsk i służb specjalnych, można zauważyć brak jednoznacznych rozwiązań, zapisów czy definicji dotyczących tej tematyki. Na rynku wydawniczym obszar wiedzy na temat działań specjalnych w dalszym ciągu pozostaje mało zbadany, kryje w sobie wiele niewiadomych, wątpliwości i teorii spiskowych. W większości literaturę fachową poświęconą tej tematyce stanowią niejawnie dokumenty doktrynalne oraz instrukcje, które nie wypełniają luki informacyjnej związanej z potrzebą usystematyzowania wiedzy



teoretycznej dotyczącej tych specyficznych formacji, zasad prowadzenia przez nie operacji, doświadczeń wynikających z ich realizacji oraz wniosków dotyczących reguł i zasad prowadzenia. Przeprowadzone analizy wskazują, że w dostępnej literaturze brakuje publikacji, które mogą stanowić podwaliny teorii funkcjonowania wojsk czy służb specjalnych i prowadzenia przez nie działań, pozycji kształtujących obraz rzeczywistego funkcjonowania formacji specjalnych. Dlatego wydaje się, że pojawienie się na rynku wydawniczym tego typu recenzowanej publikacji jest zabiegiem oryginalnym, uzasadnionym i naukowo użytecznym. Podjęcie problematyki operacji prowadzonych przez wojska i służby specjalne ma pełne uzasadnienie poznawcze, metodologiczne oraz w znacznej mierze utylitarne.

Jak wskazują Autorzy, celem publikacji stała się próba uzupełnienia wiedzy na temat wakujących obszarów działalności sił i służb specjalnych oraz ukazania ich specyfiki, realizmu, a także uwarunkowań i ryzyka podejmowanych działań.

Główną metodą badawczą wykorzystaną w procedurze badawczej, której to rezultatem stała się recenzowana publikacja, była metoda badania dokumentów. Metoda ta w swojej zasadniczej istocie polega na gromadzeniu, selekcji, opisie i naukowej interpretacji interesujących badacza faktów. Jest to więc metoda polegająca między innymi na opisie i interpretacji konkretnych dokumentów. W przypadku omawianej monografii znaczną część analizowanych dokumentów stanowiły odtajnione materiały archiwalne w postaci raportów, meldunków i sprawozdań opublikowanych przez różne instytucje. Fakt ten niewątpliwie wpływa na wiarygodność prowadzonych badań, a przede wszystkim na rzetelność uzyskanych w ramach nich rezultatów.

Publikacja w swych treściach przybliży wybrane operacje służb wywiadowczych i sił specjalnych, które dotychczas nie były opisane w odrębnych publikacjach na krajowym rynku wydawniczym. Aby jednak móc swobodnie poruszać się w poruszonym w monografii obszarze, niezbędnym stało się rozróżnienie i przedstawienie charakterystyki *sił* oraz *służb specjalnych*. Analiza dostępnych źródeł wskazuje bowiem, że niezmiernie trudno jest podać pełne i jednoznaczne objaśnienie wymienionych instytucji. Są one bowiem używane w różnych kontekstach znaczeniowych, posiadają wiele konotacji, począwszy od klasyfikacji, a skończywszy na rozumieniu. Są przy tym pojęciami niezwykle popularnymi i często zamiennie stosowanymi przez teoretyków reprezentujących różne dziedziny naukowe. Dlatego wydaje się, że przed przystąpieniem do przedstawienia działań realizowanych

przez *siły i służby specjalne* nieodzownym stało się podjęcie próby ich rozróżnienia. Z próby tej w sposób niezwykle udanie wybrnęli Autorzy przedstawiając już na wstępie własną interpretację omawianych terminów. Jakkolwiek na podkreślenie zasługuje tu fakt, że termin *siły specjalne* odnosi się głównie do formacji zagranicznych, podczas kiedy w Polsce oficjalna nazwa tej wysoce zhierarchizowanej i specyficznej instytucji brzmi *wojska specjalne*.

Pewien niedosyt pozostawia jednak brak doprecyzowania pojawiającego się w tytule terminu *operacje* (w domyśle *operacje specjalne*). Wiąże się to z faktem, że we współczesnej literaturze, instrukcjach i doktrynach, zarówno anglojęzycznych, jak i narodowych, napotykamy na, wielokrotnie zamiennie używane, sformułowania: *operacje specjalne działania specjalne, akcje specjalne czy zadania specjalne*. Na gruncie wojskowym *operacje specjalne* zostały zdefiniowane jako *operacje wojskowe prowadzone przez specjalnie do tego celu wyznaczone, zorganizowane, wyszkolone i wyposażone siły, wykorzystujące taktykę, techniki operacyjne oraz zasady użycia wykraczające poza standardy przyjęte w wojskach konwencjonalnych*<sup>6</sup>. Wielu teoretyków twierdzi, że z tak przedstawionej definicji wynika, że operacje specjalne są operacjami wojskowymi, co oznacza, iż leżą w obszarze działań wojska i żadne inne służby (policja, straż graniczna) nie realizują operacji specjalnych, a medialne doniesienia np. o policyjnej operacji specjalnej oznaczają zazwyczaj albo brak znajomości tematyki albo chęć osiągnięcia efektu zainteresowania odbiorcy tak sformułowaną wiadomością.

Aby jednak dokonać szczegółowej etymologicznej i semantycznej analizy tych pojęć niezbędnym jest między innymi podjęcie próby odpowiedzi na pytanie: *Czy operacje specjalne rzeczywiście realizowane są tylko przez jednostki sił i służb?* Istnieje przecież szereg instytucji, które w swych strukturach posiada elementy przygotowane do realizacji *zadań szczególnych, wyjątkowych, odmiennych od zazwyczaj realizowanych czyli siły do działań specjalnych*. Z prowadzeniem działań specjalnych w naszym kraju utożsamia się między innymi żandarmeria wojskowa, która posiada i utrzymuje w gotowości jednostki mogące realizować zadania specjalne (Oddziały Specjalne ŻW). W strukturach policji znajdują się wyspecjalizowane jednostki przeznaczone do działań specjalnych (np. Samodzielne Pododdziały Kontrterrorystyczne Policji), w straży granicznej funkcjonuje Biuro Zabezpieczenia Działań Komendy

---

<sup>6</sup> DD/3.5 *Operacje Specjalne*, Dowództwo Wojsk Specjalnych, Kraków 2011, pkt.1000.

Główniej Straży Granicznej, formacja powołana do zabezpieczenia prowadzonych przez Straż Graniczną działań specjalnych, w strukturach Okręgowych Inspektoratów Służby Więziennej istnieją etatowe Grupy Interwencyjne, których głównym zadaniem jest podejmowanie interwencji w sytuacjach naruszenia porządku, udaremnianie prób ucieczek i buntów, a także zamachów na życie i zdrowie funkcjonariuszy i osób osadzonych. Konstatując powyższe rozważania, sporym nadużyciem byłoby stwierdzenie, że operacje specjalne są tylko i wyłącznie domeną wojsk (sił) specjalnych, dlatego uzasadnionym wydaje się dokonany w tytule zapis: *operacje sił i służb specjalnych*.

Monografia zamyka się w dwóch częściach, które poświęcone zostały operacjom sił specjalnych (część I) i operacjom służb specjalnych (część II). Część pierwsza publikacji zatytułowana *Użycie alianckich sił specjalnych w czasie operacji „Overlord” (czerwiec-wrzesień 1944)* jest swoistego rodzaju rysem historycznym sił specjalnych państw sojuszniczych oraz koncepcji wykorzystania ich w działaniach bojowych na terenie Europy w czasie II wojny światowej. Ta część monografii przedstawia istotę strategii wojennej aliantów po klęsce Francji w 1940 roku, opisuje początki formowania się ruchu oporu na terytorium tego państwa, prezentuje zasady naboru, formy szkolenia i zasady funkcjonowania ośrodków szkoleniowych wybranych alianckich jednostek sił specjalnych. Znaczący fragment tej części monografii poświęcony został założeniom i realizacji operacji „Overlord” w aspekcie użycia w niej pododdziałów sił specjalnych. Opisane zostały tu między innymi działania brygady SAS w czasie lądowania w Normandii, zadania zespołów *Jedburgh* na terytorium Francji czy akcje specjalne Rangersów i amerykańskich grup Operacyjnego Biura Służb Strategicznych. Na podkreślenie zasługuje fakt podjęcia przez Autorów próby przedstawienia zasad dowodzenia siłami specjalnymi w operacji „Overlord”. Zadanie to nie łatwe, chociażby ze względu na to, że w operacji brały udział jednostki specjalne z różnych krajów o różnych strukturach i o różnych procedurach działania. Według opinii recenzenta z podjętego wyzwania Autorzy wywiązali się bez zastrzeżeń. Ta część publikacji może stanowić swoistego rodzaju podwalinę dla teorii prowadzenia operacji specjalnych, z powodzeniem może mieć wpływ na realne ich postrzeganie, również przez obecnych i przyszłych oficerów czy żołnierzy wojsk specjalnych. Brak bowiem na rynku wydawniczym pozycji będących odpowiednikami takich pozycji jak *Panowanie w*

powietrzu<sup>7</sup> w siłach powietrznych, *Achtung Panzer! Uwaga czołgi!*<sup>8</sup> w wojskach lądowych czy *Wpływ potęgi morskiej na historię 1660-1783*<sup>9</sup> w marynarce wojennej. Problem ten w szczególności dotyczy literatury fachowej w języku polskim. Pracę można również wykorzystać w dydaktyce wojskowej dokonując, w ramach prowadzonych zajęć, analizy zawartych w niej operacji specjalnych i oceniając je zgodnie z zaproponowanym przez adm. McRavena<sup>10</sup> modelem.

Jak już wspomniano, część druga monografii zatytułowana *Wykorzystanie ruchów nacjonalistycznych w operacjach wywiadowczych na przykładzie współpracy instytucji wywiadowczych Stanów Zjednoczonych z organizacjami ukraińskimi po II wojnie światowej* poświęcona została wybranym operacjom amerykańskich służb specjalnych realizowanych przeciwko Związkowi Sowieckiemu we współdziałaniu z ukraińskim ruchem oporu. Przedstawiona w publikacji, jakże dziś aktualna tematyka, zawiera w sobie elementy historyczne związane z genezą i kształtowaniem się państwa ukraińskiego, tworzeniem ukraińskich organizacji ruchu oporu, ich losów w czasie II wojny światowej oraz po jej zakończeniu, zarówno w kraju, jak i za granicą. Na podkreślenie zasługuje tu fakt, że Autorzy nie ulegli ogólnie pojmowanemu populizmowi i nie poprzestali na opis i charakterystyce tylko ukraińskich organizacji antysowieckich, obiektywnie bowiem i zgodnie z prawdą historyczną przedstawili też działające np. na terenach zachodniej Ukrainy organizacje antypolskie. W drugiej części publikacji zaprezentowane zostały również zasady i procedury działania, jakimi amerykańskie służby specjalne kierowały się podczas inwigilowania ukraińskich organizacji środowisk emigracyjnych i typowania ich do podjęcia wspólnych operacji specjalnych. Tak jak w części pierwszej znaczną część stanowią rozważania na temat

---

<sup>7</sup> Zob. G. Douhet, *Panowanie w powietrzu*, Tetragon, Warszawa 2013.

<sup>8</sup> Zob. H. Guderian, *Achtung Panzer! Uwaga czołgi!*, Biblioteka Wojskowa, Warszawa 2012.

<sup>9</sup> Zob. A.T. Mahan, *Wpływ potęgi morskiej na historię 1660-1783*, Wyd. Napoleon V, Warszawa 2015.

<sup>10</sup> Admirał William H. McRaven: emerytowany wojskowy, uznawany za jednego z najlepszych dowódców operacji specjalnych w armii USA. W swojej pracy pt. *SPEC OPS. Case Studies in Special Operations Warfare: Theory and Practise* skupił się na problematyce związanej z przygotowaniem i realizacją operacji specjalnych. Dokonał w niej analizy ośmiu operacji specjalnych przeprowadzonych w latach 1940 – 1976 przez niemieckie, brytyjskie, włoskie, amerykańskie i izraelskie jednostki specjalne. Dogłębne analizy poszczególnych operacji umożliwiły wypracowanie wniosków, które posłużyły do opracowania teorii operacji specjalnych, stworzenia ich modelu oraz określenia zasad jakimi planujący, przygotowujący i wykonujący operację specjalną powinni się kierować.

wykorzystania sił specjalnych w operacji „Overlord”, tak w części drugiej wiodącą tematyką stają się tajne i polityczne operacje specjalne składające się na realizowany przez Centralną Agencję Wywiadowczą projekt AERODYNAMIC oraz operacje będące jego składową. Fragment tekstu poświęcony został również kontrowersjom pojawiającym się wokół tego projektu. Bezspornie istotną wartością tej części publikacji jest odwoływanie się przez Autorów do oryginalnych dokumentów amerykańskiego wywiadu, oddają one atmosferę i obraz realnych warunków realizacji operacji przez służby specjalne.

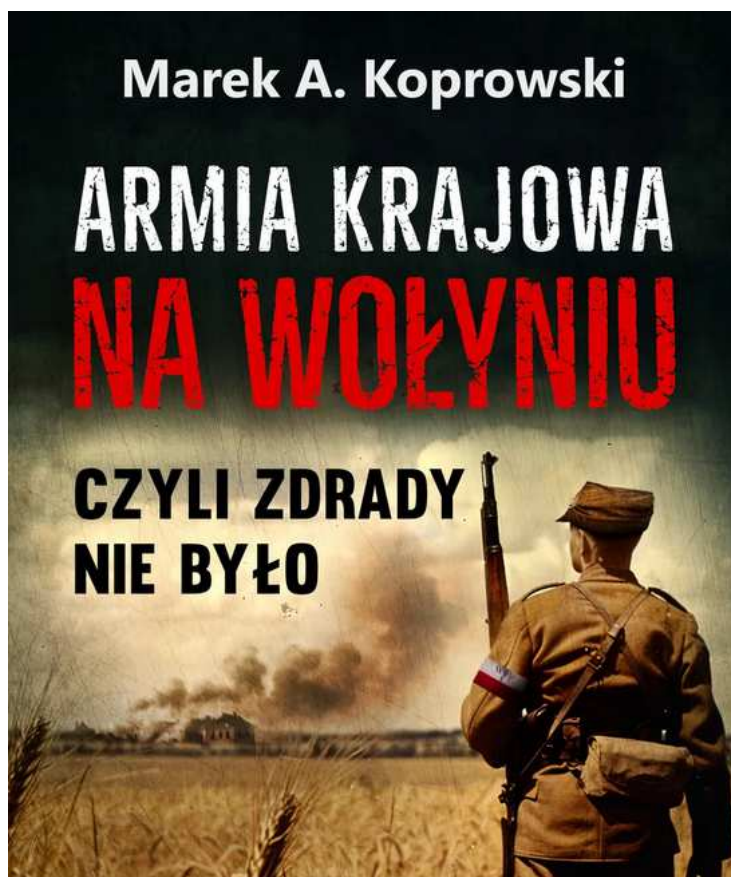
Każdą z części zamykają osobne zakończenia będące zbiorem uwypukleń i wniosków stanowiących trafne podsumowanie poruszanej problematyki. Całość monografii dopełniają szkice, mapy i schematy, które w sposób czytelny ilustrują treści merytoryczne zawarte w poszczególnych rozdziałach.

Niezwykle trafnym zabiegiem, pomocnym w pełnym zrozumieniu treści monografii, jest umieszczenie w jej części wstępnej wykazu skrótów. Akronimy i skróty stanowią bowiem niebagatelną część języka fachowego sił czy służb specjalnych i dla osób „spoza branży” mogą stanowić kłopot w pełnym zrozumieniu przekazywanych za ich pomocą treści. Na uwagę przy tym zasługuje fakt stosowania przez Autorów precyzyjnej terminologii, bardziej zbliżonej do słownictwa wojskowego niż do języka wykorzystywanego w publikacjach beletrystycznych co wskazuje na szeroką wiedzę i pełny profesjonalizm Autorów.

Podsumowując, publikacja nie tylko znajdzie popyt i zainteresowanie wśród czytelników pragnących poszerzyć swą wiedzę na temat zasad działania sił i służb specjalnych ale może być również pomocą dydaktyczną dla uczelni wyższych, zarówno wojskowych, jak i cywilnych. Należy bowiem pamiętać, że opisane w niej zasady naboru, formy i metody szkolenia czy sposoby realizacji zadań w ramach rozważanych operacji, zostały w dużej mierze zaimplementowane przez współcześnie funkcjonujące siły oraz służby specjalne i po części są nadal aktualne.

**Krystian Frącik**

Marek A. Koprowski, *Armia Krajowa na Wołyniu, czyli zdrady nie było*, Replika, Poznań 2024, ss. 528, ISBN 978-8-367-29572-7



11 lipca 2024 roku to dzień 80. rocznicy zbrodni wołyńskiej, jednej z najbardziej tragicznych i bolesnych kart w historii Polski i Ukrainy. Zbrodnia wołyńska miała miejsce w latach 1943-1944, kiedy to oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) oraz miejscowi ukraińscy nacjonałiści<sup>11</sup> przeprowadzili masowe ataki na polskich mieszkańców

---

<sup>11</sup> Autor recenzji, podobnie jak ogromna większość wszystkich wypowiadających się w kwestii zbrodni wołyńskiej, przypisuje ją, oprócz UPA, „ukraińskim nacjonalistom”.



Wołyńia oraz innych regionów kresowych. Zbrodnia wołyńska była częścią szerszej polityki czystek etnicznych, której celem było usunięcie ludności polskiej z terenów, które ukraińscy nacjonaści uważali za swoje. Szacuje się, że w wyniku tych działań zginęło około 100 tys. Polaków na Wołyńiu i Galicji wschodniej (Woźniczka, 2015). Pomimo upływu lat, sprawy związane ze zbrodnią wołyńską wciąż pozostają nierozwiązane. Pamięć o tych tragicznych wydarzeniach oraz próby uzyskania pełnej prawdy i sprawiedliwości nadal budzą silne emocje i kontrowersje zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie. Kwestie odpowiedzialności, pamięci i pojednania wciąż są przedmiotem debat historyków, polityków oraz społeczeństw obu krajów. W tym kontekście Marek A. Koprowski, uznany historyk i publicysta, podjął się trudnego zadania przybliżenia czytelnikom złożoności wydarzeń tamtego okresu. Koprowski, znany z licznych publikacji dotyczących historii Polski i Kresów, w swojej pracy korzysta z szerokiego wachlarza źródeł, w tym relacji świadków, dokumentów archiwalnych oraz wcześniejszych badań historycznych. Jego książka nie tylko dokumentuje heroizm członków AK, ale także stara się rozliczyć z mitami i stereotypami dotyczącymi rzekomej zdrady oraz niejednoznacznych postaw i decyzji tamtego okresu.

Książka składa się z kilku istotnych części, które razem tworzą spójną i wnikliwą narrację historyczną. Wstęp, który otwiera książkę, tłumaczy motywacje autora do podjęcia tego trudnego tematu. Koprowski, zainspirowany prośbami środowisk Wołyńiaków, a zwłaszcza dzieci żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, postanowił sprzeciwić się kontrowersyjnym tezom przedstawionym w książce Piotra Zychowicza "Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA". Według środowisk Wołyńiaków, książka Zychowicza jest krzywdząca dla pamięci żołnierzy 27 WDP. Uważają oni, że przedstawia ona niesprawiedliwy obraz dowództwa AK i jego działań na Wołyńiu, sugerując, że Polacy zostali celowo oddani na pastwę UPA. Koprowski, wsłuchując się w głosy rodzin i potomków tych, którzy przeżyli te tragiczne wydarzenia, pragnie

---

Narracja ta nie odpowiada prawdzie, co potwierdzone jest w dalszej części recenzji, gdzie mowa jest m.in. o zmuszaniu ukraińskich chłopów do udziału w rzeziach. Sprzyja ona jednak konsekwentnemu potępieniu idei narodowej i utożsamianiu nacjonalizmu ze zbrodniczą ideologią. Tymczasem nacjonalizm nie powinien być utożsamiany ze zbrodniami szowinizmu, ani jakimikolwiek czystkami etnicznymi i postawami antynarodowymi. Nacjonalizm zakłada bowiem konieczność istnienia narodów, a jego alternatywą jest kosmopolityzm (przypr. red.).



przedstawić alternatywną narrację, opartą na skrupulatnych badaniach i relacjach świadków. Jego celem jest ukazanie heroizmu, poświęcenia i trudnych decyzji podejmowanych przez żołnierzy AK w obliczu bezprecedensowego zagrożenia.

Autor dzieli książkę na dwie części. Pierwsza, zatytułowana "Zdrady nie było", składa się z rozdziałów, w których Koprowski precyzyjnie rozprawia się z kontrowersyjnymi tezami przedstawionymi przez Zychowicza. Autor podejmuje się krytycznej analizy tych twierdzeń, wykorzystując bogaty zestaw źródeł, aby obalić zarzuty o rzekomej zdradzie i zaniedbaniach dowództwa AK. Koprowski dementuje, jakoby rzezie na Wołyniu były dziełem tak opisanych przez Zychowicza: *"kiepsko wyszkolone, kiepsko dowodzone i kiepsko uzbrojone leśne grupy, a niekiedy naprędce skrzyknięte watahy chłopów. Pospolite ruszenie"* (Zychowicz, 2023, za: Koprowski, 2024, s. 16). Autor udowadnia, że nie był to spontaniczny ruch oddolny, lecz skrzętnie przemyślane i zaplanowane działania Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). W swoich badaniach Koprowski wskazuje, że UPA niekiedy siłą zmuszała ukraińskich chłopów do udziału w rzeziach, grożąc im śmiercią, często w okrutny sposób. Dzięki szczegółowej analizie źródeł oraz relacji świadków, Koprowski przedstawia dowody na to, że działania UPA były częścią szerszej polityki czystek etnicznych, mającej na celu całkowite usunięcie ludności polskiej z tych terenów. Książka opisuje szczegółowy scenariusz, jak miało wyglądać mordowanie polskich wsi, ukazując, że nie był to spontaniczny ruch oddolny. Przeciwnie, działania te były starannie zaplanowane i realizowane według określonego schematu przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i UPA. Scenariusz ten powtarzał się przy każdej kolejnej napaści na polskie osady, co wskazuje na systematyczność i celowość tych działań. Ataki zazwyczaj rozpoczynały się w nocy lub nad ranem, kiedy mieszkańcy byli najbardziej bezbronni. Napastnicy, często przebrani w cywilne ubrania, aby zmylić czujność, najpierw otaczali wieś, odcinając wszelkie drogi ucieczki. Następnie, podpalali domy i budynki gospodarcze, zmuszając ludzi do wychodzenia na zewnątrz, gdzie czekali już uzbrojeni bojówkarze. Wiele relacji świadków opisuje brutalność i bezwzględność napastników, którzy nie oszczędzali nikogo – ani kobiet, ani dzieci, ani starców. Koprowski, opierając się na licznych świadectwach i dokumentach, szczegółowo przedstawia te powtarzające się wzorce zbrodni. Atakowane były najpierw pojedyncze domy na obrzeżach wsi, a następnie systematycznie przesuвано się do centrum, aby zaskoczyć i dezorientować mieszkańców. Bojówkarze UPA często

stosowali metody zastraszania i psychologicznego terroru, takie jak tortury i okaleczenia, aby zaszczerpić strach i panikę.

Koprowski podkreśla, że w 1943 roku Armia Krajowa dopiero formowała się na Wołyniu. Brakowało jej ludzi, uzbrojenia oraz struktur organizacyjnych, które były niezbędne do skutecznego działania. Po wcześniejszym zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną, a następnie przez Niemców, NKWD oraz Gestapo, wspomagani przez lokalnych ukraińskich współpracowników, zlikwidowali niemal całą polską inteligencję. To właśnie ci ludzie mogliby stanowić załóżek oporu przeciwko UPA i organizować obronę ludności cywilnej. Polacy zostali więc pozbawieni potencjalnych liderów i organizatorów. Autor szczegółowo opisuje proces tworzenia tych struktur, co było zadaniem wyjątkowo trudnym w obliczu nieustającego zagrożenia ze strony UPA oraz niemieckiej okupacji. Formowanie AK na Wołyniu wymagało nie tylko czasu, ale także ogromnego wysiłku i poświęcenia ze strony dowódców i żołnierzy. Na Wołyniu brakowało wszystkiego – ludzi, uzbrojenia, mundurów, a nawet jedzenia. Powstające jednostki Armii Krajowej musiały na własną rękę zdobywać niezbędne zaopatrzenie, co dodatkowo komplikowało ich działalność w tym niespokojnym regionie. Koprowski szczegółowo opisuje trudności, z jakimi musieli się mierzyć polscy partyzanci, i sposoby, jakie stosowali, aby przetrwać i kontynuować walkę. Jednym z źródeł zaopatrzenia był handel z okupantami, Niemcami i wspierającymi ich Węgrami. Choć sytuacja polityczna była niezwykle skomplikowana to pragmatyzm i potrzeba przetrwania często prowadziły do nieoficjalnych transakcji. Polscy partyzanci nierzadko wymieniali towary i informacje z okupantami, starając się zdobyć broń, amunicję i inne niezbędne materiały. Inną metodą pozyskiwania zaopatrzenia były napady na obozy UPA. Partyzanci AK organizowali zasadzki i ataki na ukraińskie pozycje, aby zdobyć broń, amunicję oraz jedzenie. Lokalni dowódcy AK na Wołyniu wykazywali się niezwykle kreatywnością i zaradnością. Organizowali lokalne warsztaty, gdzie naprawiano broń i produkowano amunicję. Wykorzystywano wszelkie dostępne zasoby, często improwizując i dostosowując się do zmieniających się warunków. Brak mundurów zmuszał ich do noszenia cywilnych ubrań, co dodatkowo utrudniało identyfikację i koordynację działań, ale jednocześnie pozwalało na zachowanie większej mobilności i ukrycie się wśród ludności cywilnej. Koprowski podkreśla, że mimo tych ekstremalnych warunków, morale wśród żołnierzy AK pozostawało wysokie. Wiedzieli, że ich walka jest kluczowa dla przetrwania polskiej ludności na Wołyniu.

Druga część książki przedstawia sylwetki osób, które starały się zorganizować opór przed UPA oraz Niemcami. Wśród nich znajdują się zarówno żołnierze Armii Krajowej, jak i cywile, którzy wzięli na siebie ciężar dowodzenia partyzancką AK na Wołyniu. Marek A. Koprowski szczegółowo przedstawia biografie tych bohaterów, pokazując, jak ich życiowe doświadczenia i osobiste tragedie wpłynęły na decyzję o przystąpieniu do walki. Koprowski opisuje, jak wielu z nich, pochodzących z różnych zakątków Polski, znalazło się na Wołyniu i podjęło wyzwanie organizowania oporu. Wśród przedstawionych postaci są zarówno doświadczeni żołnierze, jak i zwykli cywile, którzy, mimo braku formalnego szkolenia wojskowego, wykazali się niezwykłą odwagą i determinacją. W każdym z rozdziałów autor skupia się na opisie konkretnych działań podejmowanych przez bohaterów. Przedstawia ich akcje zbrojne, sabotaże oraz działania mające na celu ochronę ludności cywilnej przed represjami ze strony UPA i Niemców. Dzięki szczegółowym opisom i relacjom świadków, Koprowski oddaje hołd tym, którzy w najtrudniejszych chwilach potrafili podjąć decyzje o ogromnym znaczeniu dla społeczności Wołynia.

Książka, choć traktuje o trudnych i bolesnych wydarzeniach, jest napisana w przystępny i klarowny sposób. Marek A. Koprowski wykazuje się nie tylko dogłębną wiedzą historyczną, ale również umiejętnością prezentowania skomplikowanych faktów w sposób zrozumiały dla szerokiego grona czytelników. Dzięki temu książka jest wciągająca i łatwa do czytania, mimo ciężaru poruszanej tematyki. Bardzo szczegółowo i rzetelnie opisuje wydarzenia, posługując się bogatym materiałem źródłowym. Koprowski nie tylko przytacza liczne relacje świadków i dokumenty archiwalne, ale także często wylicza dane, takie jak liczba zdobytego uzbrojenia, co do sztuki. Takie podejście pozwala na dokładne zrozumienie skali działań i trudności, z jakimi musieli się mierzyć żołnierze AK i polska ludność cywilna na Wołyniu. Jednym z mocnych punktów książki jest precyzyjne przedstawienie faktów i licznych szczegółów, które dają pełny obraz opisywanych wydarzeń. Autor skrupulatnie dokumentuje każdą akcję, każdą operację, każdą zdobycz, co sprawia, że narracja jest nie tylko wiarygodna, ale również niezwykle bogata w informacje. Ta dokładność i dbałość o szczegóły są godne podziwu i świadczą o ogromnym zaangażowaniu Koprowskiego w badania nad tym trudnym tematem.

Wszystko to sprawia, że książka "Armia Krajowa na Wołyniu, czyli zdrady nie było" jest nie tylko wartościowym źródłem wiedzy historycznej, ale także poruszającym świadectwem heroizmu i

poświęcenia polskich żołnierzy oraz cywilów. Marek A. Koprowski zdołał połączyć głęboką analizę historyczną z przystępnym stylem, co czyni jego pracę wyjątkową i wartą polecenia zarówno dla historyków, jak i dla szerokiej publiczności zainteresowanej historią Polski. Dzięki swojemu szczegółowemu podejściu i umiejętności przedstawienia skomplikowanych tematów w zrozumiały sposób, autor dostarcza czytelnikom nie tylko wiedzy, ale również głębokiej refleksji nad trudnymi kartami naszej historii.

**Dawid Przybylski**

### **Literatura**

- Woźniczka, Z., 2015. *Rzeź wołyńska w dokumentach i publicystyce Polskiego Państwa Podziemnego i Rządu RP na Uchodźstwie*, [w:] J. Sperka & E. Żurawska (red.), *W cieniu tragedii wołyńskiej 1943 roku: 70. rocznica mordów Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich Rzeczypospolitej* (ss. 69-88), Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice.
- Zychowicz, P., 2023. *Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA*, Poznań 2023.